

Opowiadania z “Różańca”

Krystyna Sztramska

Koncert
Skapidusza?
Niebieski ptak
Winda
Podstęp

Błogosławiona czyli szczęśliwa
Siła wiary
Różaniec
Seledynowy różaniec
Taka tylko zabawa?

Plotka
Niech żyje wolność i swoboda
Bóg mi świadkiem
Nie(pokój)
Szeptucha

Koncert

- Ależ pani dziś wesoła! - dyrektor minął Jagodę na korytarzu biurowca uśmiechając się ciepło. Nikt tak jak księgowa nie potrafił wprowadzać wśród ludzi serdecznego nastroju. Jagoda ukloniła się wdzięcznie jak dziewczynka, choć siwe włosy wymykające się spod koronkowej opaski świadczyły o jej podeszłym wieku.

- Idę dziś na koncert! - zawołała pokazując szefowi wyciągnięty z kieszeni bilet.

- Że też pani jest wciąż taka aktywna - zdziwił się, choć wiedział o licznych zainteresowaniach swojej podwładnej.

- A co mam sama w domu kisnąć - odpowiedziała mu pogodnie - skoro ludzi pełno dokoła. Wśród przyjaciół pięknie czas płynie, po Bożemu.

Poklepał ją delikatnie po ramieniu. Miał dziwną słabość do tej filigranowej kobiety pełnej wewnętrznego ciepła i niespożytej energii.

- To dobrego dnia życzę - powiedział ciesząc się z jej radości.

- Niech Bóg błogosławi - odwzajemniła mu się po swoimemu.

Znów się uśmiechnął. Przyzwyczał się do jej religijności, choć sam w kościele nieczęsto bywał. Ale Jagoda była kimś kogo akceptowało się bez zastrzeżeń. No, może tylko ten nowy ochroniarz nie okazywał jej należytego szacunku. Kiedyś na jej poranne „Szczęść Boże” wycedził przez zęby.

- To nie kościół, żeby się witać jak mohery. Tu jest normalny, cywilizowany świat.

Udała wtedy, że nie dosłyszała obraźliwych słów, ale serce się jej dziwnie skurczyło. Za to wszyscy inni bardzo ją lubili. Może dlatego, że się nie wynosiła nad drugich, że dla każdego miała dobre słowo, że chętna była do pomocy? Kiedyś ktoś ją zapytał nawet, skąd się u niej bierze ta ślepa miłość do ludzi.

- A Jezus? - odpowiedziała bez namysłu - przecież On kocha wszystkich bez wyjątku...

Dzień minął szybciej niż myślała. Oczekiwanie na koncert wprowadzało ją w stan radosnego podniecenia. Zupełnie nie mogła się skupić. Ale zanim wyszła z pracy musiała jeszcze uporządkować pilne papiery. Dlatego wyszła z biura ostatnia. Właśnie mijała stróżówkę, gdy usłyszała dziwny odgłos. Nastawiła uważnie uszu. Ktoś w środku pojękiwał boleśnie. Otworzyła drzwi, Na fotelu w rogu pomieszczenia siedział ochroniarz trzymając się rękoma za serce.

- Co panu jest! - krzyknęła nachylając się nad nim troskliwie. Nie mógł mówić, patrzył tylko na nią oczami wypełnionymi cierpieniem, Wyciągnęła telefon, wystukała numer pogotowia. Na stole stała szklanka z wodą, podała mu więc ją do ust. Ochroniarz wypił kilka kropel z trudem łapiąc powietrze. Chciała mu jakoś pomóc, ale nie wiedziała jak. Klęknęła więc tylko przy nim przytrzymując by nie spadł z krzesła. Wyciągnęła z kieszeni różaniec. Mężczyzna zawisł wzrokiem na jej ustach szepczących słowa modlitwy. Ścisnął ją mocno za rękę. Już się tak nie bał, już wiedział, że ta kobieta go teraz nie opuści...

Weszła do biurowca jak zwykle z radością i uśmiechem.

- Pani Jagodo! - dyrektor czekał na nią przed drzwiami jej pokoju - mam dla pani dobrą wiadomość. Ten ochroniarz, któremu uratowała pani życie czuje się dobrze. Jest pani prawdziwą bohaterką!

- E tam - zarumieniła się jak pensjonarka - pomoc człowiekowi normalna rzecz.

- Może i tak - dyrektor przytaknął skwapliwie - tylko nie każdy tak potrafi. A ten ochroniarz dał mi dla pani list. I prosił bym panią serdecznie pozdrowił.

Jagoda otworzyła kopertę. Zajrzała do środka.

- Tu jest jakiś bilet - zdziwiła się. A później wyjęła kartkę zapisaną drobnym drukiem.

- „Droga pani Jagodo - przeczytała - gdyby nie pani pomoc już pewnie bym nie żył. Wiem, że przeze mnie nie poszła pani wtedy na koncert. Proszę zatem w zamian przyjąć ode mnie ten bilet do teatru. Podobno to bardzo dobra sztuka. Jeszcze raz za wszystko dziękuję. Szczęść Boże. Bronisław Kowalczyk”

Jagoda aż pokraśniała z radości. To „Szczęść Boże” Kowalczyka zabrzmiało w jej uszach jak najwspanialsza muzyka.

- A jednak i na Kowalczyka Bóg znalazł sposób - uśmiechnęła się do dyrektora i z nową energią ruszyła do pracy.

Skapidusza?

Danuta wpadła do mieszkania dziwnie podekscytowana.

- Wiesz? - rzuciła od progu do siedzącego przed telewizorem męża - ja tej Janiny nie rozumiem! Spotkałam ją w sklepie i wyobraź sobie, że ona zanim coś włoży do koszyka zastanawia się pół godziny.
- No cóż, Janina zawsze była bardzo rozważna - Mieczysław podniósł się z fotela i podążył za żoną do kuchni.
- Rozważna!?! - Danuta spojrzała na męża z politowaniem - to największa skapidusza jaka znam. Wszystko przelicza, kalkuluje, ogląda kilka razy a i tak kupuje tyle co kot napłakał. Ja nie wiem jak można tak żyć! - Danuta zaczęła wyjmować z toreb zakupiony w sklepie towar.
- Jest po prostu oszczędna - Mieczysław pochwalił koleżankę żony patrząc krytycznie na górę jedzenia leżącą na stole. Znów za kilka dni połowa z tego pójdzie na śmietnik.
- Nie wiem dla kogo ona tak te pieniądze ściubi - Danuta dalej prowadziła swoje dywagacje na temat skąpstwa Janiny
- od kiedy zmarł Darek oboje z Waławem zarabiają tylko na siebie, mogliby więc sobie pozwolić na trochę więcej luksusu. Ale oni ani dobrze nie jedzą, ani się modnie nie ubierają, ani nawet nie podróżują. Kiedyś ciułali na studia dla syna, ale teraz?
- Może oni wolą takie ciche, skromne życie. Może noszą wciąż jeszcze w sercu żalobę.
- Rozumiem ich smutek - Danuta zamyśliła się - ale przecież nie mogą oplakiwać Darka wiecznie. A pieniędzy ze sobą do grobu nie zabrają.
- Za to ty wydałabyś natychmiast każdą sumę - Mieczysława spojrzał na żonę z wyrzutem.
- Ja po prostu chcę korzystać z życia póki mogę - odpowiedziała zła, że tego nie rozumie - i Janina też by tak mogła. W końcu śmierć syna powinna ją nauczyć, jakie życie jest kruche...

Wracała do domu cała w skowronkach. Udało jej się kupić taką sukienkę o jakiej od dawna marzyła. Co chwila dotykała torby czując przez cienką folię miękkość i puszystość materiału. Sukienka kosztowała majątek i Danuta chciała ją najpierw pokazać Janinie. Wbiegła na trzecie piętro jak nastolatka. Nacisnęła dzwonek

- Jak dobrze, że jesteś - Janina powitała ją rękami obsypanymi mąką - właśnie robię kopytka, zostało mi trochę ziemniaków od wczorajszego obiadu, szkoda, żeby się zmarnowały.
- Chciałam ci tylko pokazać moją nową sukienkę - Danuta wyjęła z torby nowy zakup.
- Zaraz, tylko umyję ręce...

Danuta weszła do pokoju. Zawsze się wzruszała widząc ustawione na komodzie zdjęcia Darka. Patrząc na jego uśmiech miała wrażenie, że syn Janiny nadal żyje, że jest tu w tym pokoju wciąż obecny. Nagle zauważyła obok jednego ze zdjęć Darka zdjęcie zupełnie nowe, nieznanne. Wzięła je do ręki, przybliżyła do oczu. Na tle błękitnego nieba stał afrykański chłopiec w niebieskiej koszulce i krótkich spodniach. Jego białe stopy zanurzone były w żółtym piasku.

- To jest nasz Eryk - Janina pojawiła się za plecami Danuty jak Anioł.
- Jaki Eryk? - Danuta popatrzyła na koleżankę ze zdziwieniem. Nigdy o żadnym Eryku w tym domu nie słyszała.
- Nasz drugi syn - Janina uśmiechnęła się ciepło - adoptowaliśmy go po tym jak nasz Daruś zmarł. Eryk mieszka w Rwandzie. Jest bardzo biedny, tam wiele dzieci umiera z głodu. Nie wszystkie mają, co jeść, nie wszystkie chodzą do szkoły. My pomagamy rodzinie Eryka, wysyłamy siostrze zakonne pieniądze na ubrania dla niego, na jedzenie i książki. Nam niewiele potrzeba a tam przyda się każdy grosz. Może w tym roku jego młodszy brat i siostra też dzięki nam pójdą do szkoły. To wręcz ratuje im życie.

Danuta otworzyła ze zdumieniem usta.

- A ja myślałam, że z ciebie jest zwykła skapidusza - wyjąkała cicho patrząc jeszcze raz na zdjęcie chłopca. Coś się w jej sercu poruszyło, otworzyło, zapulsowało jakimś innym żywym blaskiem. I nagle ta sukienka którą tak bardzo chciała się przed Janiną pochwalić, którą przed chwilą cieszyła się tak bardzo i która wisiała na poręczy krzesła czekając na zachwyty koleżanki, stała się dla niej jakoś mniej ważna...

Niebieski ptak

Wszedł chyłkiem do kościoła rozglądając się na boki. Ludzie klęczeli ze schyłonymi głowami a ksiądz podnosił do góry biały opłatek, więc Stefan mógł niezauważony usiąść w ostatniej ławce. Było tak jak mówił Jaro. Kościół był w remoncie i w jednym jego kącie stało kilkanaście ławek ustawionych w dziwnej piramidzie. To tam Stefan miał się schować zaraz po Mszy Świętej i poczekać aż się ściemni i ktoś z chłopaków zapuka do okna.

Siedział więc teraz patrząc jak ludzie modlą się po przyjęciu Komunii i na księdza, który stojąc tyłem do ołtarza chował kielich z opłatkami do Tabernakulum. Tych kilka sekund wystarczyło by wczłogał się po cichu pod tamte ławki. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy ksiądz i ludzie opuścili kościół a kościelny zamknął kraty i pogasił światła. Nareszcie był sam, mógł wyjść ze swojej kryjówki i czekać na współników. Wyprostował się, zrobił krok

do przodu. Nagle poczuł pod butami coś twardego. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, skierował jej płomień na podłogę. To był duży, drewniany różaniec. Kiedy go podnosił kilka urwanych koralików upadło ze stukotem na ziemię. Stefanowi zrobiło się nagle gorąco. Przymknął oczy przywołując w myślach scenę, która zmieniła jego życie. Ile to już minęło lat? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Stefan nagle przypomniał sobie wszystko tak, jakby to zdarzyło się wczoraj. Wrócił do domu z jakiejś imprezy, pobity i pokrwawiony. Maria rzuciła się do apteczki po plastry i bandażę. Jeremiasz zaczął krzyczeć rozmazując sobie łzy po twarzy. Wyjęła dziecko z łóżeczka, przytuliła je do piersi.

- Proszę, skończ wreszcie z tymi imprezami - rozplakała się - poszukaj sobie pracy. Znow prosila mamę o pieniądze. Te moje z pisania artykułów przecież nie wystarczą.

- Mam gdzieś tyranie za kilka groszy - odpowiedział ze złością - tylko z dużą forszą jest się teraz naprawdę kimś. I ja właśnie mam coś takiego na oku.

- Wciąż to powtarzasz, wciąż ktoś ci coś obiecuje. Już ci nie wierzę. Nie nadajesz się ani na męża, ani na ojca. Nie ufam ci rozumiesz?

- Jasne. Bo ty tylko ufasz swojemu Bogu.

- Tak - wyjęła z kieszeni różaniec - modlę się za ciebie, za Jeremiasza, za naszą rodzinę. Może i tobie zaczniesz na niej zależeć!

Spojrzał na różaniec ze złością. Wyrwał jej go z rąk i rzucił na podłogę.

- Zwariowałeś? - krzyknęła jeszcze bardziej zdenerwowana.

- Może zwariowałem - odpowiedział deptając różaniec butami - ale powinnaś wiedzieć, kto w tym domu rządzi.

- Najpierw na ten dom zarób - rozgniewała się nie na żarty - a teraz wynoś się, a jeśli się nie zmienisz nie pokazuj się tu więcej.

- Jeszcze tego pożałujesz - rzucił jej w twarz i wybiegł jak oszalały z domu. Wyjechał wtedy na drugi koniec Polski. Tu spotkał Jaro i tu zaczęła się jego nowa historia życia, pełna rozbojów i kradzieży. Owszem, zdarzało się, że tęsknił chwilami za Marią i synkiem, ale jakaś fałszywa duma nie pozwalała mu na powrót. Zresztą, wrócić to znaczyło się zmienić. A on nie miał zamiaru harować po dziesięć godzin dziennie i martwić się, czy pieniędzy starczy od pierwszego do pierwszego. Ale teraz stojąc w tym kościele poczuł w sobie dziwny wstyd, że wtedy tak podeptał coś co było święte nie tylko dla Marii, ale powinno być i dla niego.

Nagle drzwi kościoła otworzyły się i wbiegł do niego jakiś mężczyzna z latarką w ręku. To był chyba ten ksiądz, który odprawiał Mszę Świętą.

- Tak mi się wydawało, że ktoś tu grasuje - zawołał - czego tu pan szuka?

Stefan przestraszył się, nie pomyślał, że światło zapalniczki może być widoczny na plebani. Zaczął uciekać, ale tamten dogonił go i chwycił mocno za kołnierz marynarki. Stefan chciał się jakoś wyrwać, walnąć księdza w głowę albo dźgnąć go nożem ukrytym w kieszeni, ale wtedy w drzwiach kościoła pojawiła się jakaś kobieta z szalem na ramionach.

- Jeremiasz, co się tam dzieje? - zapytała idąc w ich kierunku. Jej głos wydał się Stefanowi dziwnie znajomy.

- Złapałem złodzieja - ksiądz zbliżył się do niej prowadząc przed sobą obcego, oświetlił jego twarz latarką. Kobieta krzyknęła, zacisnęła ręce na piersiach.

- Stefan? - chyba się trochę przestraszyła tym niespodziewanym spotkaniem.

- Znasz go mamó? - ksiądz patrzył na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Tak, to twój ojciec, synku.

Cisza jak teraz zapadła wydawała się nie mieć końca. Stefan patrzył bezradnie to na syna to na żonę. Zupełnie nie wiedział co ma powiedzieć, jak się wytłumaczyć. W końcu Jeremiasz puścił go i wytarł ręce w sutannę, jakby się go brzydził.

- Niech pan sobie idzie - powiedział głosem pełnym gorczy.

Stefan skulił ramiona jakby dostał cios w samo serce i powłókł się przez środek kościoła ku wyjściu. Przez moment pomyślał, że chciałby do nich wrócić, że chciałby się do nich przytulić, ale rozumiał, że na takie powroty jest już za późno. I wtedy nagle usłyszał za sobą kroki

- Może jednak porozmawiamy... tato - Jeremiasz położył mu rękę na ramieniu i wtedy w oczach Stefana pojawiła się malutka isierka nadziei...

Winda

Stefania umyła talerz, ustawiła go na suszarce, wytarła ręce i powiesiła ręcznik. W Radio Maryja jakiś ksiądz opowiadał o uczuciu samotności nawet wśród bliskich, znajomych. Stefania posmutniała. Ona też była samotna. Jej mąż zmarł piętnaście lat temu a dzieci porozjeżdżały się gdzieś po świecie. A sąsiedzi? Sąsiedzi traktowali ją jak wroga, jak kogoś, kogo trzeba unikać. Stefania westchnęła ciężko. Lepiej pójdzie do kościoła. Tam z Panem

Jezusem czuła się najlepiej. Stefania upięła włosy, włożyła kapelusz. Winda akurat zjeżdżała z góry. Stefania podeszła do drzwi i nacisnęła guzik. W windzie stały trzy kobiety. Znała je, spotykała się z nimi prawie codziennie. Jedna to ta nietrzeźwiejąca Łucja z trzynastego piętra, druga to Danka, matka tych niesfornych urwisów, a trzecia Joanna, pracująca w jakiejś agencji towarzyskiej.

Kobiety obrzuciły ją nieprzyjaznym spojrzeniem. Stefania stanęła pomiędzy nimi jak intruz. Miała nadzieję, że za chwilę będzie już mogła się od nich uwolnić, ale winda po kilku szarpnięciach stanęła pomiędzy piętrami.

- Cholera jasna - Łucja zaczęła nerwowo wciskać guziki i walić pięściami w drzwi.

- Niech się pani uspokoi - poprosiła ją Stefania - i niech pani tak nie przeklina...

- Delikatna paniusia - sąsiadka z trzynastego zaśmiała się chrapliwie - wolność słowa jest, no nie - rzuciła ze złością.

Stefania umilkła. Nie chciała się kłócić. Z kimś takim lepiej nie zaczynać. Stefania już nieraz przekonała się jaki tamta miała ostry język.

- Zaraz zadzwonię po męża, niech wezwie jakąś pomoc - Danka wyciągnęła z torebki telefon

Po męża? Stefanie zatkało. Przecież wszyscy wiedzieli, że Jasińscy żyją na kocią łapę. I że lekceważą sobie Boże przykazania. Co niedziela ona pierze a on trzepie dywany. A dzieciaki zamiast do kościoła szaleją po podwórku niszcząc klomby z kwiatami, trzaskając drzwiami i rysując po ścianach. Stefania nie raz była u nich ze skarga, ale na nic to się zdało. Tylko sobie następnych nieprzyjaciół przysporzyła.

- Nie zdążę na spotkanie - nagle odezwała się Joanna.

- Może to i lepiej - Stefania ze smutkiem popatrzyła na jej zbyt duży dekolt - przynajmniej nie zgrzeszysz dziś dziecinko.

- A pani nic do moich grzechów - zachnęła się tamta - moje ciało, moja sprawa.

- Ale Pan Bóg kazał swoje ciało szanować - Stefania zaczęła łagodnie.

- Tylko nie powiedział jak zapłacić za mieszkanie, za studia, ciuchy, jedzenie - Joanna przerwała jej w połowie zdania.

- Głupiaś - wyrwało się Stefanii.

- A pani stara i niedzisiejsza - odwdzięczyła się jej dziewczyna.

Stefania zagryzła usta. Wsunęła rękę do kieszeni po różaniec. Musiała się go ucześcić jak kotwicy, by nie odpowiedzieć złością.

Nagle winda ruszyła. Z początku się ucieszyły, ale zgrzyt łańcuchów był jakiś inny, nieprzyjemny.

- Coś się chyba zepsuło - krzyknęła przestraszona Danka.

Winda pędziła naprawdę zbyt szybko nie zatrzymując się na żadnym piętrze. Nagłe uderzenie rzuciło wszystkich na ziemię. I zaraz potem zgasło światło. Stefania ułyszała przerażający krzyk tamtych kobiet, poczuła, jak ktoś się na nią przewraca, jak coś uderza ją w głowę. Nie mogła się ruszyć. Leżała dziwnie wygięta nie puszczać różańca z dłoni

- Maryjo, pomóż - wyszeptała tylko i straciła przytomność.

* * *

Dzień wstał piękny, słoneczny, taki akurat na powrót do domu. Stefania dziękowała Bogu, że jakoś wykaraskała się ze swoich potłuczeń i złamań. Dziwnie to jakoś się wszystko ułożyło, ale musiał być w tym palec Boży. Bo jak inaczej wytłumaczyć ten cud, gdy kilka dni po tamtej tragedii w windzie odwiedziła ją w szpitalu Joanna?

- Znalazł się pani różaniec - powiedziała z uśmiechem - wcisnął się w szczelinę podłogi.

Stefania rozplakała się wtedy jak dziecko. Przycisnęła różaniec do piersi i wtedy przeszła jej przez głowę myśl, że mogłaby tej dziewczynie pomóc, że mogłaby jej zaproponować u siebie pokój. Za darmo oczywiście, żeby tamta nie musiała zarabiać w agencji. I ten pomysł jakoś w niej dojrzywał przez cały czas, gdy Joanna odwiedzała ją w szpitalu, troszczyła się, pomagała w pielęgnacji. Dobra była z niej dziewczyna, tylko taka trochę zagubiona, opuszczona przez rodziców, przyjaciół, znajomych. Tu właśnie w szpitalu Stefania przekonała się jaka jest naprawdę bez tych wyuzdanych ciuchów i makijażu. Nie wiadomo kiedy Joanna stała się jej bliska sercu jak mało kto. Dziś nawet urwała się z wykładów, by zawieść Stefanię do domu. Bo Łucja akurat nie mogła. Łucja też o niej pamiętała. Była przy niej w te dni i noce, gdy życie Stefanii wisiało na włosku. Ale dziś opiekowała się dziećmiakami Lisowskich, bo chore były a mama daleko, w sanatorium, na rehabilitacji. Ten wypadek też Łucją wstrząsnął bardzo. Joanna mówiła, że sąsiadka zaczęła chodzić na spotkania AA. Ciekawe, czy wytrzyma. Może trzeba jej więcej modlitwy, wsparcia?

- To idziemy? - Joanna chwyciła ją mocno pod ramię - musi pani być silna i zdrowa, żeby na weselu tańczyć.

- Na jakim weselu? - Stefania roześmiała się głośno.

- Nie słyszała pani? - zdziwiła się dziewczyna - Lisowscy biorą ślub w kościele? Podobno wszystkie będziemy na niego zaproszone.

- Niemożliwe - Stefania poczuła jak oczy pałą ją od napływających łez. A później uściskała Joannę jak własną córkę. No, bo takiego cudu toby się nigdy w życiu nie spodziewała...

Podstęp

Nastka ze złością zamknęła okno. Hałas z podwórka dochodził do jej mieszkania z ogromną siłą. Całe dnie to samo, krzyki dzieci, szczekanie psów i warkot samochodów. Tych ostatnich przybywało ostatnio coraz więcej, smród i kurz dostawał się do domu każdą możliwą szczeliną i ona, Nastka, musiała to znosić zamknięta w czterech ścianach swojej kawalerki. Od pewnego czasu rzadko wychodziła z domu, sąsiedzi jej nie lubili, patrzyli na nią wrogo, choć to ona najbardziej przejmowała się porządkiem w bloku. Ale zamiast poparcia otrzymywała tylko złe słowa i spojrzenia. A przecież wygrywała wszystkie sprawy w sądzie, więc musiała mieć rację. Tylko kto tych jej racji słuchał? Pawlakowa, mimo zakazu nadal w nocy prała i odkurzała mieszkanie. Nowi lokatorzy wiercili i stukali w ściany nawet w niedzielę, a bachory Kowalskiej bez przerwy biegały po schodach i mazały na klatce kredą jakieś bohomyzy

Nastka westchnęła ciężko, poczłapała w kierunku stolika, wyjęła z szuflady kartkę listowego papieru. Była wprawiona w pisanie oskarżycielskich elaboratów. Nagle usłyszała za drzwiami pisk. Podeszła z gniewem do drzwi. To pewnie pies Lewandowskiego nasikał jej na wycieraczkę. Na niego też powinna napisać donos. Ale jakież było jej zdumienie, gdy na progu zamiast Bery ujrzała szczeniaka zawiniętego w kocyk i leżącego w koszyku. Mały patrzył na nią wilgotnymi oczami i piszczał jak najęty. Nastka nachyliła się nad nim, szczeniak zaczął się wiercić, rozplątywać się z koca i wtedy Nastka zobaczyła ułożoną na dnie koszyka kartkę

- Zaopiekuj się mną - przeczytała wolno - wabię się Nikolas. Jak będę głodny daj mi mleko, jest w koszyku. Dziękuję.

Nastka zbladła, to chyba jakaś pomyłka, wszyscy dokoła wiedzieli jak bardzo nie cierpi psów. Zatrzasnęła gwałtownie drzwi zostawiając psa samego. Może znajdzie się ktoś kto go zabierze. Ale na klatce jak na złość panowała cisza i nikt nie wychodził z mieszkania. Mijały minuty, później kwadrans. Na dworze robiło się ciemno. Pies kwilił za drzwiami żałośnie jak dziecko a Nastka siedziała przy stole z długopisem w ręku i nie mogła nic napisać. W końcu podniosła się i wyszła na próg.

- Wezmę cię, ale tylko na jedną noc - jęknęła chwytając koszyk. Postawiła go później obok łóżka, zagrzała mleko, wlała je do miseczki. Patrzyła jak pies chłepcze zachłannie, jak mlaska i rozpryskuje biały płyn dokoła. Mimo pełnego brzuszka sen miał lekki, niespokojny i piszczał nawet przez sen. Nastka wzięła go na ręce, pies wtulił się natychmiast w jej sweter i Nastce zrobiło się nagle tak jakoś ciepło na sercu. I wtedy pomyślała, że może tego małego zostawi u siebie na zawsze...

Minął tydzień odkąd Nikolas zamieszkał u niej. Czas zaczął dla niej jakoś inaczej, lepiej płynąć. Sąsiedzi w bloku przyglądali się jej z uśmiechem jak wyprowadza Małego na spacer. Dzieciaki od Kowalskiej biegały za nim wsuwając mu do pyszczka jakieś psie przysmaki. Pytały o wszystko, więc Nastka musiała z nimi bez przerwy rozmawiać. Ze zdziwieniem zauważyła, że ludzie wokół są sympatyczni i pogodni. Interesowali się szczeniakiem, udzielali porad i wskazówek. Nastka przestała chować się po kątach i zupełnie nie miała czasu na pisanie skarg. Zresztą tak naprawdę nie było na kogo. Pies pochłaniał ją całkowicie. Dziś przed blokiem spotkała Lewandowskiego. Starszy pan przyglądał się jej tak jakoś figlarnie. Nikolas zaczął dokazywać z Berą, kilkoro sąsiadów otoczyło ich kołem.

- Polubiły się - Nastka po raz pierwszy uśmiechnęła do Lewandowskiego.

- Bo to przecież szczeniak Bery - powiedziała Pawlakowa i zaraz zasłoniła ręką usta. Gromadka sąsiadów popatrzyła na nią z wyrzutem. Lewandowski zmieszał się.

- Przepraszam panią za ten podstęp. Ale kiedy Bera się oszczeniła pomyśleliśmy, że przydałby się pani ktoś do kochania. A mnie - dodał natychmiast - ktoś do wspólnych spacerów.

Poczerwieniła, ale podchwyciła jego żartobliwy ton.

- Jeśli pan się nie wstydzi takiej staruszki jak ja - odrzekła prawie zalotnie - to mogę panu towarzyszyć już dziś - powiedziała czując w gardle twardą kluchę, znak potęgującego się w niej nagłego wzruszenia.

I wszystko byłoby wspaniałe i piękne, gdyby po powrocie do domu nie zastała wetkniętej w drzwi kartki z napisem: „Pani pies spulchnia nasze wycieraczki. Jeśli nie przestanie oddamy sprawę do sądu. Sąsiedzi. ”

Zbaraniała. Chwyciła psa na ręce, rozejrzała się wokół jakby bojąc się, że ktoś zechce jej Nikolasa odebrać. A później jeszcze raz zerknęła na kartkę i wtedy zauważyła narysowane na niej uśmiechnięte słoneczko.

- „A wiec to taki żart tylko” - odetchnęła z ulgą, choć już zaczynała godzić się z myślą, że nic by się nie stało, gdyby tę ostatnią sprawę po prostu przegrała...

Błogosławiona czyli szczęśliwa

Kościół był pełen ludzi. Anna dyskretnie rozejrzała się dokoła. Byli z nią tu dziś wszyscy jej przyjaciele i bliscy. Tylko Justynki nie było, ale Anna wierzyła, że córka Agaty patrzy na nią z nieba i uśmiecha się do niej tak samo pięknie jak kiedyś. Ksiądz Jan właśnie zbliżył się do ambony. Poczula na sobie jego rozradowany wzrok. Spojrzała na Krzysztofa, wsunęła mu rękę pod ramię. Poczula bijące od niego ciepło i zapach lawendy, który zawsze

działał na nią uspokajająco.

- Wielbi dusza moja Pana - ksiądz Jan rozpoczął kazanie znanymi jej z Biblii słowami Maryi - i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy.

Anna uniosła głowę do góry, poszukała oczyma obrazu z wizerunkiem Matki Bożej. Maryja patrzyła na nią dziś w sposób szczególny. Anna знаła to spojrzenie, towarzyszyło ono jej w najważniejszych chwilach życia: podczas I Komunii Świętej, Bierzmowania, Ślubu. Anna westchnęła głęboko. Nagle stanął jej przed oczami tamten pełen niewypowiedzianej radości dzień. Stała przed ołtarzem z Andrzejem, cała w bieli, wypełniona po brzegi miłością do Boga i przyszłego męża. Była pewna, że Bóg szykuje dla niej wspaniały i długi czas szczęśliwego małżeństwa. Szeptła słowa modlitwy prosząc o dar rychłego potomstwa. I Bóg ją wysłuchał. Po kilku miesiącach w jej łonie poruszyło się dzieciątko i szczęście Anny nie miało granic. Codziennie przychodziła do kościoła, by u stóp Maryi odmówić różaniec, by oddać się jej szczególnej opiece.

- Maryja wielbiła Boga jak nikt inny na ziemi choć niełatwo było Jej podążać za Jezusem poprzez trudne ścieżki Jego życia. Tę postawę Maryi naśladowała siedząca tu Anna, która pomimo cierpienia nigdy nie zwątpiła w Bożą miłość - kontynuował kazanie kapłan .

Anna pochyliła głowę. To prawda, że nie odeszła od Boga, choć Bóg doświadczył ją bardzo, gdy po kilku miesiącach małżeńskiego szczęścia Andrzej zginął w samochodowym wypadku a ona ogarnięta rozpaczą poroniła. Spędziła wtedy na modlitwie w kościele wiele godzin. Było jej ciężko, ale nigdy nie przestała wierzyć i ufać w dobroć Boga. Któregoś dnia ksiądz Jan podniósł ją z klęczek i zapytał, czy nie pojechałaby z nim do Fatimy. Zgodziła się. Tam u Maryi poznała Justynkę, kalekę dziewczynkę i jej mamę Agatę. Jakoś od razu przypadły sobie do gustu. Anna zaczęła pomagać nowym znajomym, była silna i młoda a małą trzeba było nosić na rękach albo pchać na wózk. Bardzo cieszyła się, że jest komuś potrzebna, wiedziała, że to Maryja postawiła przed nią to nowe, niezwykle zadanie...

Anna wzdrygnęła się słysząc nagle głośnie oklaski. Powinna uważniej słuchać kazania a nie poddawać się wspomnieniom.

- To tobie wszyscy dziękują - Krzysztof szepnął jej do ucha - za to co zrobiłaś dobrego dla wszystkich dzieci i ich rodzin.

Zmieszała się. To przecież była Msza Święta dziękczynna z okazji Pierwszej Rocznicę ślubu jej i Krzysztofa, a nie czas na peany na jej cześć. Ale gdy spojrzała w twarze przyjaciół przestała się złościć.

- Tak naprawdę to pomaganie wam wszystkim to zasługa Justynki - powiedziała podchodząc do mikrofonu - to ona nakłoniła mnie do czytania dzieciom bajek, do wystawiania teatrzyków, organizowania wycieczek do kina i teatru. To ona sypała pomysłami wyjazdu na pikniki do lasu, nad wodę, do wystawiania Jasełek w kościele i śpiewania w scholii. Ja byłam tylko narzędziem w jej rękach.

Anna poczuła jak po policzku płyną jej łzy. Tak. To dzięki Justynce utknęła w Ośrodku dla Niepełnosprawnych na wiele lat. Tu poznała Krzysztofa, ojca Franka, którego rehabilitowano u nich po amputacji nogi. Anna nie myślała, że będzie umiała pokochać kogoś tak samo jak Andrzeja. A jednak rok temu pobrali się z Krzysztofem. A dziś dziękowali Bogu, za ten piękny czas wspólnego małżeńskiego życia. Franek uśmiechał się do nich szczęśliwy, że Anna umiała zastąpić mu nieżyjącą mamę i że traktowała go jak własnego syna.

- Wielbi dusza moja Pana, i raduje się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim bo wejrzał na uniżenie swojej Służebnicy - ksiądz Jan słowami Magnificatu kończył kazanie i w tym właśnie momencie Anna poczuła w sobie dziwne poruszenie. Znieruchomiała, przytknęła dłoń do brzucha. Nie, to nie było możliwe, lekarz przecież nie dawał im żadnej nadziei. Ale tamto drgnienie powtórzyło się, więc Anna uniosła wzrok do góry, by w oczach Maryi odczytać Boży zamysł. Fatimska Panienska patrzyła na nią z takim ciepłem i taką czułością, że Anna nie miała już żadnej wątpliwości.

- Będziemy mieli dziecko - szepnęła nachylając się do Krzysztofa.

Zdumiony odwzajemnił jej uśmiech i objął mocno ramieniem.

Anna położyła obie dłonie na brzuchu, jakby tym gestem chciała podzielić się z wszystkimi dobrą nowiną i z niewymowną wdzięcznością popatrzyła w oczy Maryi...

Siła wiary

Wróciła do domu zdenerwowana. Jeremi od razu to poznał po jej bladych policzkach i kropelkach potu na czole.

- Stało się coś? - zapytał odbierając z jej rąk torbę z zakupami.

Grażyna westchnęła ciężko. Nie zdejmując płaszcza usiadła na kanapie. Wtuliła twarz w skulone dłonie.

- Dyrektor znów mnie wezwał na dywanik - wydusiła drżącym głosem - powiedział, że mam wybierać. Albo przestanę religijnych praktyk w szkole, albo mam sobie szukać nowej pracy

- Przecież nie może cię ot tak sobie zwolnić! - Jeremi zaczął nerwowo chodzić po pokoju - nie ma w twojej szkole

lepszej nauczycielki od ciebie. Chyba ta nagroda, którą otrzymałaś w zeszłym roku jest tego najlepszym dowodem.
- Jabłońska uważa inaczej - Grażyna westchnęła ciężko.
- Jabłońska! - Jeremi zacisnął ręce na poręczy fotela - od kiedy jej synalek przyszedł do twojej klasy wszystko się jakoś zaczęło psuć, rozwalać. A już dyrektor całkiem na jej punkcie ogłupiał.
- Bo załatwiła mu tę dotację unijną, W końcu jest kimś kto wiele dla naszej szkoły zrobić może. Tylko w czym ja jej przeszkadzam, w czy zagrażam, że mnie tak nienawidzi.

Grażyna znów poczuła pod powiekami łzy. Przypomniła sobie nagle pierwsze spotkanie z Jabłońską. Skończyli właśnie ostatnią lekcję i jak zwykle modlili się do Ducha Świętego, gdy matka Kacpra wpadła do klasy jak wichura - To chyba jest szkoła świecka - krzychała już od progu nie czekając aż dzieci opuszczą klasę - a pani wciąż tylko się modli i modli, jakby ze szkoły pani Kościół chciała zrobić!

- Ale przecież pani wyraziła zgodę na lekcje religii - Grażyna próbowała odeprzeć atak
- Na lekcję religii tak - tamta nie miała zamiaru skapitulować - ale pani nie jest katechetką, żeby odmawiać pacierze na swoich lekcjach, żeby śpiewać religijne piosenki, odmawiać różaniec. Powinna pani to umieć rozdzielić, powinna pani wiedzieć na czym polega nowoczesny system nauczania.

- Ale być chrześcijaninem trzeba zawsze, a nie tylko od czasu do czasu - głos Grażyny zdrzął niebezpiecznie. Dzieciaki patrzyły na nią z nieukrywany współczuciem. Darzyła je ogromną miłością i była pewna, że i one odwzajemniają jej uczucia. To właśnie dzięki codziennej modlitwie i pomocy Aniołów jej klasa miała taką dobrą opinię. Jeszcze w zeszłym roku dyrektor to doceniał, akceptował. A teraz poglądy Jabłońskiej, jej wpływy i pieniądze wszystko zmieniły. Grażyna z trudem opanowała wtedy nerwy, ale przyszły następne dni, następne nieporozumienia z Jabłońską, następne z dyrektorem rozmowy i Grażyna miała coraz mniej sił, by walczyć z narastającymi przeciwnościami.

- A ja ufam, że wszystko jakoś się ułoży, naprawi, że ta Jabłońska przejrzy kiedyś na oczy - Jeremi pogłaskał ją po włosach i była mu ogromnie wdzięczna za te słowa otuchy. Podniosła się z kanapy, zdjęła płaszcz, wyciągnęła z torebki różaniec i klękła przed obrazem Maryi. Wiedziała, że za chwilę Jeremi dołączy do niej i że ta wspólna z nim modlitwa na pewno ją uspokoi...

Weszła do klasy z uśmiechem, choć pod bluzką łomotało jej mocno serce. Postanowiła nadal witać szkolny dzień po staremu, czyli z Panem Bogiem. Rozejrzała się po klasie i odetchnęła z ulgą. Kacper Jabłoński był dziś nieobecny mogła więc bez obaw rozpocząć modlitwę. Nie zdążyła jednak się nawet przeżegnać, gdy do klasy wszedł dyrektor.

- Mam dla was smutną wiadomość - powiedział splatając nerwowo ręce - wasz kolega Kacper miał wypadek, potrafił go samochód - dyrektor miał oczy pełne łez - leży w szpitali i jest nieprzytomny. Przed chwilą dzwoniła jego mama. Lekarze nie dają dużej nadziei...

W klasie zapanowała niczym nie zmacona cisza. Kroki wychodzącego z sali dyrektora dudniły w tej ciszy jak stukot odjeżdżającego pociągu. Grażyna dała dzieciom gestem znak, żeby usiadły. Nadal milczała. I nagle dyrektor znów zajrzał do klasy.

- A może byście się za niego pomodlili?- powiedział tak jakoś ciepło, bez zbytniego patosu. Grażyna skinęła głową a dzieci natychmiast wstały i złożyły ręce. Jeszcze nigdy nie modlili się z takim uczuciem, z taką żarliwością i z taką wiarą. Jeszcze nigdy nie mieli tak ważnej sprawy do przemodlenia, jeszcze nigdy tak gorliwie nie wzywali imienia Jezusa i Maryi...

Dziwnie było bez Kacpra w szkole. Jego puste miejsce w ławce przypominało wszystkim o niedawnej tragedii. Ale wciąż była nadzieja, bo choć Kacper był wciąż nieprzytomny to przecież nadal żył. Modlili się więc za niego każdego dnia, w każdej wolnej od nauki chwili.

Którego dnia Jabłońska niespodziewanie stanęła w progu klasy. Wyglądała jak cień. Grażyna wstrzymała oddech ze strachu co tamta powie, ale matka Kacpra uśmiechnęła się do niej tak jakoś ciepło, serdecznie.

- Chciałam się z wami podzielić dobrą nowiną - powiedziała cicho - mój syn odzyskał dziś przytomność.

W klasie zawrzało jak w ulu. Grażyna wyciągnęła do Jabłońskiej ręce w przypływie nagłej radości.

- Ja wiem, że to dzięki pani, że to dzięki wam... - Jabłońska rozplakała się jak dziecko - kiedy dziś Kacper się obudził, kiedy otworzył oczy powiedział, że w tym swoim długim śnie was nieustannie widział, jak stoicie ze złożonymi rękami a nad wami unoszą się Anioły i Maryja z Jezusem na ręku. Dlatego chciałabym wam dziś podziękować i pomodlić się razem z wami - i mama Kacpra wyciągnęła z kieszeni różaniec. Zaraz też wszyscy przyłączyli się do niej głośnym „Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”, tylko Grażyna nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa, bo nagle jakieś dziwne wzruszenie chwyciło ją ciasno za gardło...

Różaniec

Świt obudził Irenę stukaniem szpitalnych kłapek, rozmowami zmieniających się pielęgniarek, wsuniętym pod pachę termometrem. Chciała podnieść się na łóżku ale dotkliwy ból nie pozwolił jej na większy ruch. Przymknęła oczy czując pod powiekami łzy. Jak na filmowej kliszy przesunął jej się przed oczami wczorajszy dzień. Lucjana już od rana nosiło. Był na potwornym kacu a w domu nie było ani kropelki wódki. Łaził więc po mieszkaniu trzaskając drzwiami i przesuając krzesłami. Wszystko go drażniło, szczególnie różaniec Bożymirskiej. Staruszka nastawiła radio na cały regulator i słowa modlitwy wdzierały się przez ścianę do ich mieszkania głośną kaskadą. Lucjan zaczął walić więc w ścianę pięściami jak oszalały. Od śmierci Pawełka wszystko co związane było z Panem Bogiem wyzwalało w nim jakąś niesamowitą nienawiść i agresję. Dziś objawiała się ona mocniej niż zazwyczaj.

- W końcu rozwalę jej to cholerne radio - krzyknął do Ireny i wymachując groźnie rękami wybiegł na klatkę schodową. Irena przestraszyła się, wybiegła za mężem, ale on odepchnął ją i wtedy straciła równowagę lecąc w dół po betonowych schodach. Krzyknęła z bólu, gdy gdzieś po drodze uderzyła głową o kant stopnia.
- Niech pan wezwie pogotowie! - usłyszała jeszcze wołanie Bożymirskiej i ogarnęła ją ciemność.

A teraz leżała na szpitalnym łóżku cała obolała, samotna i nieszczęśliwa. Nagle poczuła, że ktoś głaszcze ją po włosach. Otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz kochana? - Bożymirska przyglądała się jej z troską w oczach - wracam właśnie z kościoła i pomyślałam sobie, że cię odwiedzę, zdrowaśkę z tobą odmówię.

Irena uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Sięgnęła po ukryty na piersiach różaniec. Po tamtym tragicznym dniu, gdy synek utopił się w jeziorze nie rozstawała się z nim nigdy. Była wtedy bardzo zrozpaczona, wciąż płakała po stracie Pawełka, a jednak nie poddała się tak jak Lucjan. I to dzięki Bożymirskiej właśnie, do której wpadała po kryjomu przed mężem na rozmowę, modlitwę, zwierzenia. Wiara w Jezusa i Maryję pozwalała jej każdego dnia godzić się na Bożą wolę.

- Wierzę w jednego Boga... - zaczęła powtarzać za Bożymirską.

- Irena, nie rozumiem co ona tu robi i dlaczego ty się z nią modlisz! - nagle usłyszała nad sobą pełen gniewu głos męża. Skuliła się w sobie, zeszywniała. Staruszka podniosła się i z pośpiechem opuściła salę mijając się w drzwiach z lekarzem.

- Jednak się pani nie myliła - powiedział doktor - wyniki badań wskazują, że to początek ciąży. Myślę, że nic jej nie zagraża.

Irena zadrzała ze wzruszenia. Spojrzała z radością na męża. Lucjan przesunął wzrokiem po jej posiniaczonych policzkach, szyi, rękach i zatrzymał się na brzuchu. I nagle jakiś bolesny skurcz przebiegł mu po twarzy. Coś się w nim poruszyło, złamało.

- Wybacz! - wyszeptał dotykając jej dłoni. Tej dłoni w której z wiarą i nadzieją zaciskała swój ukochany różaniec.

Seledynowy różaniec

Edward poprawił krawat i wyjął zaproszenie z kieszeni. Rzadko chodził na wernisáže, ale artysta, który do niego dzwonił miesiąc temu bardzo nalegał na jego przyjście. I to pewnie on stoi teraz w drzwiach wystawowej sali i uśmiecha się do niego. Edwardowi jego twarz wydała się dziwnie znajoma, musiał widzieć zdjęcie malarza w gazecie albo w telewizji, ale teraz nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać bo tamten wyciągnął do niego rękę w powitalnym geście.

- Bożydar Winnicki - przedstawił się - bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

- Ciekawy jestem pana prac - Edward skłonił się grzecznie.

- W takim razie zapraszam - Winnicki wskazał mu poobwieszane obrazami ściany.

Edward odwzajemnił uśmiech i skierował się ku najbliższej ścianie. Obrazy nieznanego artysty dziwnie przyciągały jego wzrok. Przycupnięte chaty, pochylone nad nimi drzewa, bociany w gniazdach, łąny zbóż pełne były intensywnych barw i ciepłego światła. Nagle serce Edwarda zabiło mocniej. Obraz, który wywołał w nim niezwykle poruszenie przedstawiał wiejską procesję idącą wzdłuż pól z trzepocącymi na wietrze feretronami i chorągwiemi.

Idący na przedzie ksiądz szerokim gestem kropił zieleniejące zboża a biegnące za nim dzieci podskakiwały wesoło. Edward podszedł do obrazu całkiem blisko i nagle oniemiał z wrażenia. Na dole obrazu w trawie leżał seledynowy różaniec. Edward poczuł na czole kropelki potu. Taki sam różaniec zrobiła mu Anna ze swoich koralików, żeby modląc się zawsze pamiętał o ich miłości i żeby zawsze miał go przy sobie. Nosił więc go w kieszonce na sercu i na pewno miał go wtedy, gdy szedł w takiej jak na obrazie procesji ze swoją żoną i synkiem i wraz z innymi śpiewał religijne pieśni prosząc Boga o urodzaj i bogate plony. A później modlił się przy stojącej przy drodze figurce Matki Bożej otulonej fioletowym bżem. Lecz później gdzieś mu się ten różaniec zawieruszył.

- Źle się pan czuje, jest pan taki blady? - usłyszał nagle nad sobą zatroskany głos malarza.

- Nie, nie, tylko ten pański obraz wywołał we mnie bolesne wspomnienie. Ja kiedyś też żyłem wśród takich obrzędów i takiej tradycji. Ale pociągnął mnie wielki świat, zapomniałem o Bogu, o rodzinie. A teraz ta procesja, wszystko nagle we mnie ożyło. Nawet te twarze jakby znane, bliskie. Widzi pan? Ta kobieta zupełnie podobna jest do mojej żony a ten chłopiec i mężczyzna ... - Edward otarł dłonią zażawione oczy.

Winnicki milczał, więc Edward przeniósł wzrok z obrazu na jego twarz, a później znów skierował go na obraz, na tę trójkę w środku procesji i na leżący w trawie różaniec.

- Pan się nie nazywa Bożydar Winnicki - szepnął ogarnięty nagle docierająca do niego zaskakująca prawda.
- Bożydar Winnicki to tylko taki mój malarski pseudonim - potwierdził tamten i patrząc Edwardowi w oczy podał mu wyciągniętą z kieszeni paczuszkę. Edward odwijał ją z namaszczeniem, jakby wiedział co się w niej znajduje.
- Myślałem, że go zgubiłem - rozplakał się jak dziecko wpatrując się w seledynowe koraliki różańca. Malarz objął go ramieniem tak jakoś ciepło, serdecznie
- To mama go znalazła przy figurce Maryi - szepnął - i to ona prosiła, żebym namalował ten obraz i żebym zaprosił cię na wernisaż i żebym oddał ci ten różaniec po jej śmierci... Tato.

Taka tylko zabawa?

Marek wystukał na komórce numer telefonu koleżanki Kariny czując na sobie coraz bardziej zaniepokojony wzrok żony.

- Ja nic nie wiem - głos Jolki wydawał się Markowi dziwnie nerwowo - owszem bawiłam się z nią, nawet razem wyszliśmy ze szkoły, ale później ja skręciłam do domu a Karina poszła dalej.

- I co? Dowiedziałeś się czegoś? - żona wpatrywała się w niego intensywnie zagryzając usta. Wzruszył nerwowo ramionami. Był zły także na nią. Tyle się wczoraj nagadał na temat Halloween, ale to jakby grochem o ścianę. Gdyby wiedział, że Anna pozwoli córce iść dziś na to pseudoświęto to wracając z pracy zabrałby ją ze szkoły choćby siłą. Nie pomyślał, że Karina tam jest, gdy mijał rozświetlony budynek z ustawionymi na okiennych parapetach dyniami i kołyszającymi się na boki kościotrupami pilnującymi drzwi, że wraz z chmarą poprzebieranych w maski i stroje „duchów” krzyczy, śmieje się i zaczepia przechodniów. No, ale ani nauczyciele, ani większość rodziców nie uważała, że to coś złego. Marek z niesmakiem przypomniał sobie gablotę na szkolnym korytarzu eksponującą satanistyczne symbole naprzeciw której wisiała inna, ta poświęcona Patronowi szkoły Janowi Pawłowi II i dyskusję rodziców na klasowym zebraniu.

- Halloween nie jest żadnym zagrożeniem dla dzieci - deliberowała Kowalska - przecież to taki sam dzień jak pierwszy dzień wiosny, albo Andrzejkki, albo choćby kolędnicy, tam też jest Śmierć i Diabeł i zabawa w przebieranki.

- Albo jak Mikołajki, czy karnawał - poparła ją Nowakowska - dzieci obżerają się cukierkami i robią psikusy i tyle. Czemu im tego zabraniać?

Marek próbował im wytłumaczyć, że Halloween to nie zabawa, to drwina ze zmarłych, to brak szacunku dla śmierci, to wpajanie dzieciom pogańskich tradycji, ale zagadali go, zamknęli mu usta. Nawet Poturnicka, która straciła niedawno męża w wypadku samochodowym nie umiała mu pomóc. Marek wybiegł wtedy z zebrania bardzo zdenerwowany i zabronił Karinie iść w dzisiejsze popołudnie do szkoły, ale córka i żona zlekceważyły ten jego zakaz.

- Marek, zrób coś! - Anna szarpnęła go za rękaw. Marek popatrzył na żonę smutno. Przecież był w szkole i obszukał z woźnym wszystkie zakamarki, sprawdził najbliższe ulice, bramy, korytarze, obdzwonił nauczycieli, szpitale, znajomych, powiadomił Policję, odmówił różaniec. Co miał więcej zrobić?

Nagły dźwięk telefonu poderwał go z krzesła.

- To ja, Jolka - usłyszał tuż przy uchu zapłakany głos przyjaciółki Kariny - ja kłamałam panu, gdy pan ze mną rozmawiał wcześniej, bo ja się bardzo boję. Kiedy wracałyśmy z Kariną do domu otoczyli nas jacyś chłopacy, oni mieli takie straszne oczy i wymalowane na czerwono twarze. Chwycili nas za ręce, powiedzieli, że duchom potrzebna jest dziś ofiara. Krzyczałyśmy, wyrzywałyśmy się, ale nikt nam nie pomógł, pewnie wszyscy myśleli że to taka zabawa. Ugryzłam tego, który mnie trzymał za rękę, puścił dlatego udało mi się uciec. Ale Karina... oni poszli z nią w stronę cmentarza.

Po plecach Marka przebiegł zimny dreszcz, spojrzał na wiszący na ścianie zegar, wskazówki wskazywały prawie północ.

- Dzwon na Policję! - krzyknął do żony zrywając z wieszaka kurtkę - niech otoczą cmentarz.

- Marek! - oczy Anny były pełne przerażenia.

Zatrzymał się, przytulił ją do siebie.

-To pewnie tylko taka zabawa - próbował ją uspokoić zdrętwiałymi od strachu ustami. Zaciśnął mocniej palce na ukrytym w kieszeni różańcu i jak oszalały wybiegł z domu.

Plotka

Stały przed blokiem chyba już od godziny. Dwie sąsiadki, dwie przyjaciółki. Rozgadane, gestykulujące, z wypiekami na twarzy.

- Bo ty Zosiu na wszystko mu pozwalasz. Te późne powroty do domu są naprawdę podejrzane - Agata miała bardzo zmartwioną minę.

- Grzegorz twierdzi, że musi zostawać teraz dłużej w pracy, bo mają tam jakąś kontrolę - Zosia zdjęła okulary, by wyjętą z torebki chusteczką wytrzeć napływające do oczu łzy.

- Nie wierzę - Agatą machnęła niecierpliwie ręką - to wykrety. Zresztą, już całe osiedle gada na wasz temat. Wiesz, ściany mają uszy i wasze kłótnie słychać na kilometr. Nie przebierasz w słowach, więc każdy wie jaki z twojego męża drań.

- To nie tak - Zosia zarumieniła się jak piwonia - denerwuję się, podnoszę głos to prawda, ale chyba posądzam go o romans niesprawiedliwie.

- A ja wiem, że on kogoś ma - wypaliła nagle Agata zła, że Zosia zaczyna bronić męża - bo widzisz, ja Grzegorza i tę jego kochankę widziałam wczoraj wieczorem na parkingu. Akurat wyrzucałam śmieci, gdy nadjechali. Kiedy wysiedli z auta ona pocałowała go w policzek i dała mu jakieś klucze, pewnie do swojego mieszkania. On chyba jej dziękował bo kłaniał się jak marionetka. Do klatki wbiegł jak nastolatek, nawet nie zauważył mnie stojącej na chodniku.

Zosia zacisnęła dłoń w twarde pięści, jej oczy znów zaszczyły łzami.

- Nigdy mu tego nie wybaczę - szepnęła zagryzając usta do krwi. Przyjaciółka próbowała ją objąć, ale Zosia odwróciła się na pięcie i jak oszalała pobiegła do domu. Wyciągnęła z pawlacza walizki i zaczęła wrzucać do nich rzeczy męża. Nie pozwoli, by po tym co jej zrobił pozostał z nią pod jednym dachem choćby minutę dłużej.

- Widzę, że nas pakujesz? - nagle usłyszała nad sobą uradowany głos Grzegorza - ktoś chyba zepsuł mi moją niespodziankę.

- Jaką niespodziankę? - warknęła czując jak krew napływa jej falą do głowy.

- Przecież marzyłaś o wyjeździe na wakacje, więc postanowiłem spełnić twoje pragnienie. Znalazłem w Internecie piękny ośrodek wczasowy nad jeziorem. Trochę drogi, ale właścicielka zaproponowała mi zniżkę za pomoc w sprzątanii i drobnych naprawach. Właśnie wczoraj skończyłem tam pracę i dostałem klucze do naszego wakacyjnego gniazda, pani Asia sama mi je wręczyła odwoząc mnie do domu. Ale ty już o tym przecież wiesz, już walizki spakowane, więc nie ma co zwlekać - Grzegorz zajrzał jej zalotnie w oczy - odpoczniesz, zrelaksujesz się, ostatnio byłaś bardzo nerwowa i przemęczona.

Zawstydzila się, opuściła wzrok. Nagle zrozumiała, jak bardzo skrzywdziła męża swoimi domysłami, oskarżeniami, kłótniami, wiarą w durne osiedlowe plotki. Ile złych słów powiedziała, ile niesprawiedliwych oskarżeń. Musi za to wszystko Grzegorza przeprosić a później podziękować mu za dobre serce, ale to może za chwilę, bo teraz pragnie się tylko do niego przytulić, by wiedział jak bardzo go kocha.

Niech żyje wolność i swoboda

Dzień wstał piękny słoneczny, wypełniony ptasim trelem i zapachem rosnących pod oknem malw. Anna z rozkoszą przeciągnęła się leżąc jeszcze w łóżku. Emerytura była dla niej jak długo wyczekiwane wakacje pozwalające na bezgraniczne lenistwo.

- Niech żyje wolność i swoboda - zanuciła beztrąsko siadając na łóżku. Przez chwilę popatrzyła na porozrzucane na podłodze części garderoby, na warstwę kurzu zalegająca komodę, na nieumyte od wczorajszej kolacji naczynia a później machnęła na to wszystko ręką i poczłapała do kuchni. Machinalnie przejrzała się w wiszącym na ścianie przedpokoju lustrze. Skrzywiła się widząc strąki nie mytych włosów, poplamioną podomkę i podkrążone oczy. Ale jakie to miało teraz znaczenie, gdy całe dnie siedziała w domu przed telewizorem lub czytając książki. Musiała nadrobić czytelnicze i serialowe zaległości, odkładając sprzątanie, pranie i prasowanie na inny czas. Nie była już potrzebna dzieciom, które wyfrunęły z rodzinnego gniazda daleko poza granice kraju, ani mężowi, który zmarł nagle w ubiegłym roku. Sąsiadów jakoś też nie zdążyła poznać, no może tylko trochę tego starszego pana z naprzeciwka. Nazywał się Antoni Socha, miał osiemdziesiąt pięć lat i był zawsze zadbany i elegancki. W ciepłe dni przesiadywał na ławeczce przed domem i odmawiał różaniec. Kiedy mijała jego dom wracając z pracy podchodził do płotu, uchylał kapelusz i mówił.

- Szczęść Boże !

- Szczęść Boże - odpowiadała, choć nie była zagorzałą katoliczką. Ale miło było wiedzieć, że ktoś jej dobrze życzy, więc te życzenia odwzajemniała. Później zamieniali kilka słów o pogodzie, polityce, osiedlowych nowinkach. Sympatyczny pan, kulturalny, ciepły, pobożny. Ciekawe, czy i dziś rozpoczął dzień od modlitwy. Anna podeszła do kuchennego okna i wyteżyła wzrok. Był. Siedział wyprostowany opierając głowę o ścianę. Miał przymknięte oczy a nieodłączny różaniec zwisał mu z ręki i huśtał się lekko na wietrze.

Anna podeszła do kuchennego blatu, nalała wody do elektrycznego czajnika i włączyła przycisk. Po chwili z kubkiem świeżo zaparzonej kawy stanęła znów przy oknie. Sąsiad nadal się nie ruszał, ale różaniec teraz leżał na ziemi. Anna poczuła jak serce zaczyna jej szybciej bić. Nie zważając na swój strój wybiegła z domu i popędzała na podwórkę sąsiada.

- Panie Antoni, panie Antoni - zawołała szarpiąc go za rękaw, ale tamten tylko przechylił się na bok a później z łoskotem bezwładnego ciała upadł na ziemię. Wpadła w panikę, nie wiedziała co robić.

- Ratunku, pomocy - krzyknęła widząc przechodzących chodnikiem ludzi. Biała jak papier twarz sąsiada budziła w niej strach i przerażenie.

- Proszę wezwać karetkę - zadysponowała widząc obok siebie jakiegoś mężczyznę. Tamten sięgnął po telefon. Anna zagryzła usta. Nagle usłyszała cichy chrzęst pod stopami. To był różaniec. Anna podniosła go. Był cały. Zaciśnęła go mocno w dłoni i przycisnęła do serca. Modlitwa uspokoiła jej myśli i rozdygotane ciało

Po kilkunastu minutach nadjechała karetka.

- Jeszcze żyje - lekarz uśmiechnął się do Anny ciepło. Pewnie pomyślał, że jest jego jakąś krewną. Odetchnęła z ulgą i kiedy karetka odjechała wróciła wolno do swojego domu.

Tamten feralny dzień dziwnie ich połączył. Anna nie umiała o niczym myśleć jak tylko o chorobie sąsiada. Jego blada twarz wciąż stała jej przed oczami. Prowadzona jakimś instynktem wróciła jeszcze tego samego dnia do jego domu. Staruszek mieszkał sam, więc trzeba było pozamykać okna i drzwi. Może odnaleźć jakieś adresy bliskich. Posprzątać. Jednak, gdy Anna przekroczyła próg domu zauważyła, że mieszkanie jest czyste i zadbane. Poszperała w szufladach komody ale nie znalazła nic co służyłoby za jakiś ślad. Dlatego następnego dnia wybrała się do szpitala

- Jaka pani dobra - pan Antoni wyciągnął do niej rękę w geście powitania.

- Przyniosłam pański różaniec - powiedziała wkładając mu go do ręki.

- Wiedziałem, że mi pomoże - uśmiechnął się blado - chyba wymodliłem sobie panią. Bo widzi pani, ja już nie mam na tym świecie nikogo.

Poczuła pod powiekami łzy. Poglaskała mężczyznę po dłoni. Powinna go jakoś pocieszyć, zadeklarować pomoc, ale bała się pochopnych decyzji. Przecież obiecała sobie wolność i swobodę. I wtedy zobaczyła na szybie sali duży plakat, na którym Papież Jan Paweł II nachylał się nad chorym siedzącym na wózku inwalidzkim i napis: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali”.

Poczuła w sercu bolesne ukłucie. Uświadomiła sobie nagle jaką była potworną egoistką. Zaniedbała dom i siebie. Zerwała kontakty z dziećmi, od miesiący nie odwiedziła grobu męża. Wolność i swoboda, głupie nieznaczące szczęście.

- Panie Antoni - szepnęła w przyplywie nagłego wzruszenia - proszę pamiętać, że nie jest pan sam.

- Tak, wiem - odszepnął - jest ze mną Jezus i Maryja.

- I ja - dodała, czując, że od tego momentu czas jej emerytury będzie wyglądał zupełnie inaczej niż sobie to wymarzyła i zaplanowała i fakt ten napełnił jej serce niespodziewaną radością.

- Dziękuję - Pan Antoni uściśnął jej rękę i uśmiechnął się figlarnie - bo widzi pani, ja nigdy nie myślałem, że na własne oczy zobaczę kiedyś swojego Anioła Stróża.

Bóg mi świadkiem

Borys stał nad trumną brata udając skupienie i uwagę. Dopiero, gdy ksiądz zaintonował „Dobry Jezu a nasz Panie” rozejrzał się dokoła. I wtedy zauważył stojącą w rogu kaplicy Teresę. Była żona obserwowała go w milczeniu. To ona powiadomiła go o śmierci brata i listach, które pozostawił.

- Można teraz pożegnać się ze zmarłym - do uszu Borysa dotarły słowa księdza.

Ludzie zaczęli podchodzić do trumny, głaskać twarz zmarłego, dotykać jego rąk. Borys w pośpiechu opuścił kaplicę, wyciągnął papierosa, zapalił.

- Byłam pewna, że przyjedziesz - Teresa wyszła za nim.

- Przecież to mój brat - warknął niegrzecznie.

- Z którym nie widziałeś się piętnaście lat - odpowiedziała zaczepnie - jak tylko zgarnąłeś pieniądze po ojcu uciekłeś gdzie pieprz rośnie.

- Robiłem interesy, nie miałem czasu.

- Wiem, śledziliśmy ze Staszkiem twoje losy. Cieszył się jak dziecko, gdy widział cię w telewizji. Snuł marzenia o wspólnym domu. Wierzył, że kiedyś go z tego przytułku zabierzesz, że dopełnisz obietnicy.

- Jakiej obietnicy?! - Borys podniósł głos.

- Przysięgałeś ojcu, że się Staszkiem zaopiekujesz. Z ręką na Piśmie Świętym zapewniałeś, że zyski będziesz dzielił na pół.

- Źle Staszekowi w Domu Opieki nie było, miał co jeść i w co się ubrać. A w interesach prawie każdy chwyt jest dozwolony i moja przysięga dana ojcu nic nie znaczyła.

- Tak jak ta, którą dałeś mi na ślubie?

- Nie przyjechałem tu po to, żeby słuchać twoich żalów i wymówek!

- A po co? - spojrzała mu uważnie w oczy.

- Co to za listy o których mówiłaś?

- Staszek pisał je do ciebie. Nie miał odwagi ich wysłać. Ale kiedy go odwiedzałam w tym jego domu pomocy społecznej czytał mi je po kilka razy. Ty nawet nie wiesz jaki on miał literacki talent. Obiecałam mu, że po jego śmierci je wydaję.

- Co w nich jest? - zaniepokoił się.

- Wszystko, twoja przysięga też!

Borys poczerwieniał. Czy ta Teresa zwariowała? Czy ona myśli, że on pozwoli, by jego współnicy się o tym dowiedzieli? By stracili do niego zaufanie?

- Teresa, pozwól, że ja je sam wydaję - zaproponował patrząc jej ciepło w oczy - Bóg mi świadkiem, że tej obietnicy dotrzymam.

- Ty Pana Boga zostaw w spokoju - zdenerwowała się - On na pewno nie chce uczestniczyć w twoich kłamstwach.

Oczy Borysa od razu zamieniły się w ostre szparki.

- Ty ze mną nie zadzieraj! - krzyknął rozdrażniony jej słowami.

- Bo co? - parsknęła mu prosto w twarz - znów mnie oszukasz? I to z imieniem Pana Boga na ustach?

- Coś się stało? - ksiądz podszedł do nich zaniepokojony podniesionymi głosami.

- Nie, nie! - Teresa delikatnie odciągnęła go od Borysa w kierunku wynoszonej z kaplicy trumny - wszystko w porządku. Tylko mój mąż czuje się nie najlepiej. Ale to normalne, gdy żegna się swojego jedyne go brata...

Pytanie:

Dlaczego imienia Bożego nie wolno używać do składania przysięgi w sytuacjach mało ważnych, bez słusznego powodu?

KKK 2152

Wiarołomcą jest ten, kto pod przysięgą składa obietnicę, której nie ma zamiaru dotrzymać, lub ten, kto złożywszy pod przysięgą obietnicę, nie dotrzymuje słowa. Wiarołomstwo jest poważnym brakiem szacunku względem Pana wszelkiego słowa. Zobowiązanie się pod przysięgą do dokonania złego czynu sprzeciwia się świętości imienia Bożego.

Nie(pokój)

Róża obudziła się z bólem głowy. Nie mogła zasnąć rozmyślając o ich róży różańcowej. Ostatnio zelatorka wciąż myliła się prowadząc modlitwy i Róża pomyślała, że już dość tego i że to ona powinna zająć jej miejsce. Zresztą, ta kobieta ją coraz bardziej irytowała.

- Kochanie, będzie dziś śniadanie? - mąż już czekał na nią w kuchni.

- Nie możesz sobie zrobić sam? - odpowiedziała ze złością.

- Przecież nie pozwalasz mi się do niczego wtrącać!

Naburmuszyła się, wydeła usta jak obrażona nastolatka. Weszła do kuchni, włączyła czajnik, zaparzyła herbatę. Wyciągnęła z lodówki masło, wędlinę, pokroiła chleb.

- Wszystko w porządku? - mąż próbował rozszyfrować jej zły humor.

- Tak - skłamała. Nie było w porządku, ale co to może go obchodzić. Jadła śniadanie w milczeniu. Kiedy wstali od stołu z głośnym brzękiem wrzuciła brudne naczynia do zmywarki, z hałasem przysunęła krzesła do stołu.

- Mam wrażenie, że jednak coś lub ktoś cię zdenerwował!

Parsknęła jak rozłoszczona kotka. No tak! To ta zelatorka nie dawała jej spokoju. Ale czy facet takie sprawy zrozumie?

Dzień włókł się pomału, Róża robiła wszystko jakby pod przymusem, niechętnie. Mąż omijał ją w milczeniu, czekając chyba aż chmury z jej czoła znikną. Wieczorna Masza Święta przebiegła jej bezmyślnie. A później spotkanie na plebanii. I znów to irytujące przekręcanie słów modlitw i pieśni przez zelatorkę. A do tego jeszcze źle przydzielone tajemnice różańcowe. Nerwy Róży zupełnie puściły. Powiedziała więc do niej cedząc słowa przez zęby:

- Uważam Leokadio, że powinnaś się wycofać ze swojej funkcji, stara już jesteś, nie widzisz, nie słyszysz!

Chyba zbyt mocno podniosła głos. Ale nie, inni ją poparli. Roman, Tamara, Ela. Otoczyli tamtą wianuszkami głów, tłumaczyli, przekonywali, ale tak jakoś napastliwie, niedelikatnie.

- Co tu tak głośno! - ksiądz pojawił się między nimi jak duch - Pani Leokadio, czemu pani płacze?

- E, nic takiego - zelatorka wytarła łzy chusteczką - po prostu mam zaćmę. Po operacji, jak przejrzę na oczy to wszystko się na pewno poprawi.

Nagle ucichli, spuścili oczy. Ksiądz popatrzył na nich poważnie i powiedział cicho:

- Rano podali w radio informację o setkach zabitych chrześcijan. To może dlatego, że ludzie nie potrafią żyć ze sobą w zgodzie w rodzinach, we wspólnotach, w pracy. Trzeba się modlić o pokój na świecie, ale także za ten w naszych sercach i pomiędzy nami.

Róża spłonęła jak piwonia. A więc ksiądz słyszał ich kłótnię. Teraz patrzył uważnie im kolejno w oczy. Na dłużej zatrzymał spojrzenie na niej.

- Pani Różo, to może pani dziś poprowadzi różaniec?

Zacisnęła drżące palce na paciorkach różańca. Uśmiechnęła się niepewnie. Podeszła do zelatorki.

- Ale razem z Leokadią - położyła jej czule rękę na ramieniu i poczuła na sobie jej ciepłe spojrzenie. A później pomyślała o mężu, i o tym, że i jemu trzeba okazać ciepło za te jej poranne humory.

Szeptucha

Byli potwornie zmęczeni, bo jechali już od kilkunastu godzin. Agnieszka płakała nawet przez sen. Pękające od miesięcy krosty na jej ciele sprawiały jej dotkliwy ból. Lekarze mówili, że trzeba smarować ciało córki i mieć nadzieję. Ale oni już tej nadziei nie mieli. Dopiero wróżka postawiła ich na nogi. Alicja była zdumiona jej wiedzą na temat ich kłopotów wyczytanych z kart i chęcią pomocy.

- Dam pani adres pewnej szeptuchy, ona wiele może - zakończyła sesję zgarniając położone na stole pieniądze i podając jej małą wizytówkę.

Ucieszyła się. Wracала do domu jak na skrzydłach. Snuła plany na najbliższą przyszłość. No bo jeśli tamta uzdrowicielka pomoże Agnieszce to także może wyciągnąć teściową z cukrzycy, Adamowi „wyczaruje” lepszą pracę a jej pomoże zrzucić trzydzieści kilo.

- Czy ty jesteś pewna, że dobrze robimy?- teściową naszły nagle wątpliwości.

- Oj mamó! - Adam uprzedził odpowiedź żony - szeptucha to bardzo pobożna osoba, jej dar leczenia pochodzi od samego Boga.

Teściowa umilkła. Argument syna był niezwykle silny i dalsza dyskusja nie miała sensu. Tym bardziej, że właśnie zbliżali się do domu wokół którego stała gromadka ludzi.

- To chyba tu - Adam zaparkował obok innych samochodów, wyszedł z auta i wziął małą na ręce.

- Szeptucha już przyjmuje - przywitał ich jakiś mężczyzna.

Alicja poczuła jak drżą jej ręce i nogi.

- Nie ma się czego bać - zapewnił ją ten sam mężczyzna - to naprawdę mądra kobieta.

Więc Alicja przestała się bać i gdy po godzinach czekania weszła wreszcie do środka była całkiem spokojna. Szeptucha obejrzała Agnieszkę.

- Ktoś rzucił na nią urok - zawyrokowała stanowczo.

Później rozłożyła na jakiejś płachcie lniane pasma i podpaliła je nad ciałem małej. Ogień wystraszył Agnieszkę, ale Alicja trzymała ją z całych sił. Cierpliwie czekała też, gdy szeptucha kolejno okadzała ich jakimś dymem, lała воск na wodę, sypała solą i popiołem. Na koniec chodziła wokół nich w kółko szepcząc coś pod nosem.

- To była litania do świętych – tłumaczył jej Adam, gdy wracali do domu. Alicja skinęła głową. Chciała wierzyć, że wizyta u szeptuchy im wszystkim pomoże.

Jej rozmyślenia przerwał telefon.

- A wy gdzie jesteście? - głos księdza Adama odezwał się przy jej uchu – za chwilę odprawiam Eucharystię z prośbą o zdrowie dla Agnieszki a was w kościele nie widzę.

Alicja poczerwieniała jak piwonia. Zupełnie zapomniała o tej zamówionej Mszy Świętej. Co ma teraz powiedzieć księdzu? Że nie zdążą, bo wracają od szeptuchy? Że Agnieszka już teraz będzie zdrowa? A jeśli nie?

- Niech ksiądz przełoży tę intencję na jutro - wyjąkała czując krople potu na czole - wypadł nam niespodziewany wyjazd, a bardzo nam zależy, by w tej Eucharystii jednak uczestniczyć...

- Pytania:**
1. Dlaczego Pan Bóg ma prawo wymagać posłuszeństwa względem Pierwszego Przykazania?
 2. Co to jest bałwochwalstwo i jak się ono przejawia we współczesnym świecie ?
 3. Jakie są formy wróżbiarstwa i dlaczego są one sprzeczne z wolą Bożą?

KKK 2116

Należy odrzucić wszystkie formy wróżbiarstwa: odwoływanie się do Szatana lub demonów, przywoływanie zmarłych lub inne praktyki mające rzekomo odsłaniać przyszłość. Korzystanie z horoskopów, astrologia, chiromancja, wyjaśnianie przepowiedni i wróżb, zjawiska jasnowidztwa, posługiwanie się medium są przejawami chęci panowania nad czasem, nad historią i wreszcie nad ludźmi, a jednocześnie pragnieniem zjednania sobie ukrytych mocy. Praktyki te są sprzeczne ze czcią i szacunkiem - połączonym z miłującą bojaźnią - które należą się jedynie Bogu.